

Wspomnienia z Karaibów

St.Lucia, Rodney Bay 23 grudnia

Klarujemy powoli jachty. Trochę dziwnie jest pić kawę w kokpicie, kiedy nic nie kiwa, nic nie spada, nic nie trzeba trzymać. Kiedy dookoła pełno ludzi i innych jachtów. Dziwne dość to uczucie...

Jutro Wigilia. Pierwszy raz nie w zimowym, a w upalnym klimacie. Jakoś inaczej. Brakuje mi śniegu...

Spotykamy Marcina z s/y Harmony. Już wcześniej spotkałyśmy go w Gibraltarze, i teraz znów. Jaki mały jest ten świat! A poza tym mnóstwo ludzi podchodzi do nas i patrzy na nasze łódki. I pyta z niedowierzaniem: „Atlantyk przepłynęłyście?”... Tak! My naprawdę to zrobiłyśmy!

W Rodney Bay poznajemy bardzo sympatycznych Finów z s/y Rataoneito. Zaprośili nas na wino, a potem zabrali na kolację. W trakcie rozmowy okazało się, że są lekarzami. A taksówkarz zawiózł nas w jakąś dziwną dzielnicę, gdzie ludzie - w przeddzień Świąt - bawili się, śpiewali, tańczyli boso na ulicy. Radość aż od nich biła. Naprawdę niezwykle są te Świąta tutaj. Przeżywamy je zupełnie inaczej. Może dlatego, że każda z nas jest tak daleko od domu, od swoich bliskich? Nie wiem.

Wigilia, 24 grudnia

Upał jak diabli, ze 40°C w cieniu. Nasi kapitanowie (Ania i Gosia) zajęli się przystrajaniem jachtów: zdobią je niebiesko-czerwonymi łańcuchami (dzięki Julku!) i choinkami zrobionymi z liści palmowych. My - dzielna załoga (Madzia i ja) – przygotowujemy kolację. Robimy sałatki z owoców morza (ośmiorniczki, krewetki, kalmarki i inne dziwne stwory), smażymy rybki w przyprawach... A jest już barszcz czerwony (jeden kubek na nas cztery, bo tylko tyle znalazłyśmy w bakistach, ale dobre i to), gotowana marchewka, śliwki suszone, migdały. Wieczorem przykrywamy stół obrusem, zapalmy świece. Pamiętamy o dodatkowym nakryciu dla niespodziewanego gościa. I zasiadamy do wigilijnej wieczerzy. Z braku opłatka dzielimy się chlebem i składamy sobie życzenia... chyba dla każdej z nas brzmią one tutaj wyjątkowo..... Potem pałaszujemy jedzonko... potrawy może nieco mniej tradycyjne, ale i tak przypominają o tych innych Wigiliach... i smakują (może właśnie dlatego) wybornie... Pora na kolędy (wielkie dzięki za słowa i chwyt do nich, Weroniko i Apaczu!) Śpiewamy je z gitarą, ale już na pokładzie, bo w środku

mimo wszystko za gorąco. Większość jachtów też jest świątecznie przystrojona... Siedzimy u siebie i śpiewamy kolędy, szanty i nasze ulubione kawałki...

Na pasterkę postanowiłyśmy pojechać do kościoła, który jest jakieś 10 minut drogi z portu. Pojechali z nami Finowie. Luteranie - ale bardzo chcieli zobaczyć jak wygląda katolicka msza. Miało być blisko a okazało się, że msza jest w katedrze aż w Castries. Msza była niesamowita, wspaniała, choć trwała ponad 3 godziny (!) Wszyscy (nie tylko my) momentami przysypiali. Ale wszyscy też – śpiewali. I wyczuwało się, że to naprawdę radość, że śpiewają od serca. Kiedy wyszliśmy z kościoła i czekaliśmy na taryfę - dołało nam okropnie. A Tapio oddał mi swoją marynarkę. Nieważne że za duża... To było miłe...

25 grudnia

Jest tak gorąco, że odpalamy mantra dinghy i jedziemy na plażę i tu spędzamy większą część dnia. Siedzimy, smażymy się, wrzucamy nawzajem do wody. Niektórzy nawet trochę nurkują, bo woda jest wprost przezroczysta! Finowie też są tutaj, co prawda mieli zamiar wracać, ale jak nas spotkali na wodzie, to zmienili zdanie, i zamiast do portu wrócili z nami na plażę. A wieczorem przygotowali dla nas saunę! Najprawdziwszą saunę - w tropikach! Bo chyba zapomniałam dodać, że saunę, to oni mieli na swoim jachcie.

26 grudnia

Znów wybrałyśmy się na plażę. I spotkałyśmy dwie kobiety, jak się okazało - siostry urodzone tutaj. Zapytałyśmy je o jakąś niedrogą knajpkę, gdzie można by smacznie się posilić. A one na to, że zapraszają nas do siebie, że coś dla nas przygotowują! Ania i Gosia pojechały więc odstawić dinghy i przywieźć nam buty. Zabrały ze sobą jedną z sióstr, żeby zobaczyła nasze łódki. Madzia i ja poszłyśmy z drugą z sióstr do ich domu. Na miejscu okazało się, że sióstr jest w sumie pięć. Każda mieszka w innym kraju, ale tu jest ich rodzinny dom, więc często tu przyjeżdżają. I na dodatek zabierają ze sobą mamę, która ma 92 lata (na które zupełnie nie wygląda!) Ugościły nas jedzeniem, jakiego w żadnej knajpie byśmy nie dostały... różne miejscowe sałatki, ryba latająca, trzcina cukrowa. Bardzo, bardzo miły i sympatyczny wieczór. Dostałyśmy zaproszenie również na następny dzień, na obiad. Niesamowite, prawda?

Całkiem miło stoi się w tym porcie, ale czas zmykać dalej. Płyniemy do Marigot Bay (ok. 15-20 Mm). Na miejsce docieramy o wyjątkowej jak na nas porze - w dzień. I wita nas tęcza, śliczna jak ta zatoka! Czy my naprawdę tu spędzimy „sylwka”?! Na Karaibach?!

Super!! Stoimy na jednej boi, burta w burcie. Fali nie ma. Jest cicho i spokojnie. I pięknie! Po prostu pięknie...

Sylwester 31 grudnia

Najpierw dziewczyny robiły się na bóstwo. Ja, jako że tego nie lubię, wzięłam się za sałatki (tym razem w wersji beczosnkowej, bo w końcu do ludzi idziemy). Nowy Rok przywitałyśmy najpierw według czasu polskiego (z lekkim poślizgiem co prawda, ale co tam). Potańczyłyśmy, pośpiewałyśmy i pożarłyśmy wszystkie sałatki. Gdzieś w okolicach 22.00 LT pojechałyśmy (na mantra dinghy) zobaczyć gdzie i jak bawią się inni ludzie.

Jesteśmy na Karaibach, za dwie godziny Nowy Rok, a wszędzie... jakoś tak podejrzanie cicho. Kilka sympatycznych knajpek dookoła, więc pewnie będą tańczyć, bawić się, szaleć. Podpływamy do jednej z nich - cisza.... Do następnej - to samo. Zostaję wysłana na zwiady, bo może to tylko przy pomoście pontonowym nic nie słyszeć. I co? Nigdzie nikt nie tańczy, nie bawi się. Wszyscy siedzą za zastawionymi żarciem stołami, a jedynymi, którzy zdają się bawić (bo śmieją się, i mają śmiesznie przystrojone głowy) są ...kelnerzy. Spadamy stąd. A może oni nie mają zwyczaju bawić się na Nowy Rok? Wracamy do siebie, na mantry. Bawimy się chwilę we własnym gronie, ale w końcu decydujemy się podjechać raz jeszcze do tej ostatniej knajpy (najbliżej nas). Zamawiamy po egzotycznym drinku i czekamy ciekawie, co będzie działo się dalej. Knajpowi goście siedzą przy swoich stołach, i każdy zawzięcie coś pałaszuje. W pewnym momencie ... swój sprzęt zaczyna wystawiać orkiestra. Żywa (!) Pojawiają się gitarki, perkusja i orkiestra zaczyna grać. A wszyscy – siedzą dalej. Kurde, czy tak ma wyglądać nasz sylwester?! Ten jedyny i niepowtarzalny sylwester na Karaibach?! No i nie wytrzymałam. Wyszłam na parkiet i zaczęłam śmigać (a co, zna mnie tu ktoś?) Dołączyła do mnie Madzia, i już po chwili - cała nasza czwórka szalała równo na parkiecie... A potem... to prawie wszyscy ruszyli się od swoich stolików i zaczęła się naprawdę całkiem fajna imprezka. Tuż przed wybiciem północy wszyscy goście dostali ustrojenia główek i jakieś trąbki. Śmiechu było przy tym – co niemiara. Odśpiewaliśmy wspólnie (choć każdy śpiewał jak umiał) pieśń o przyjaciołach (taki amerykański standard, tytułu nie pamiętam). A potem były już tylko uściski i życzenia. Wszyscy wszystkim, znajomym i nieznanym... HAPPY NEW YEAR!!!... I była jeszcze chwila patrzenia na pokaz sztucznych ogni (hmm... nie żebym się czepiała, ale w Krakowie na Wiankach - jest o wiele ładniej). A zaraz potem – pewnie nie uwierzycie - knajpę zamknęli (!!!) I był koniec imprezy... Porażka! Przecież człowiek dopiero co zaczął się bawić. Wsiadłyśmy więc w mantra dinghy i do innej knajpy, gdzie co prawda imprezy nie słyszeć, ale za to widać mnóstwo ludzi na pomoście... I tutaj to

już tak się wyskakałyśmy, tak wyszalałyśmy, że hej!!! Muzyka grała i z płyt, i na żywo. Było naprawdę fajnie. Nawet jak w pewnym momencie, w ubraniach, wszystkie cztery wylądowałyśmy.... w basenie (bo w środku knajpy mieli taki spory basen.... ze słodką wodą, i cały przystrojony balonikami)...

A potem do domu, to znaczy na mantry. Spisać noworoczne postanowienia. Pierwsze – mogę powiedzieć - to oczywiście jeszcze więcej żeglować! Drugie - więcej uśmiechać się do świata. Trzecie... i te następne... zachowam na razie dla siebie...

1 stycznia 2006 r.

Zwlekłyśmy się z koi hmm... nie powiem żeby wczesnym rankiem...W nocy pasqdnie wiało, więc co chwila któraś z nas wstawiała i sprawdzała, czy kotwica trzyma. Poranna kawka, śniadanko i płyniemy. Do Rodney Bay, żeby mieć te parę mil bliżej na Martynikę. Brrr.. cały czas wieje w morde, sama przyjemność. Płyniemy początkowo trochę na silniku, potem stawiamy żagle, od razu grota na trzeciego refa i jedziemy. Dziób mocno uderza o fale, że co chwila jakaś ląduje na sterującym - prosto mu w oczy! Auć!

W nocy (a jakże by inaczej) dopływamy na kotwiczowisko w Rodney Bay. Wieje dalej, ale tutaj, w zatoczce, jest jakby spokojniej. Mantra „Asia” już stoi, ale nam w nocy nie chce się dmuchać dinghy, więc z dziewczynami zobaczymy się dopiero rano. Szlag by trafił! Tu wszędzie pełno kompletnie nieoświetlonych jachtów na kotwicy stoi! Czy to jakaś cholerna miejscowa moda? oszczędność? A może na crash test liczą? MASAKRA! Ich naprawdę nie widać! Trzeba bardzo-bardzo uważać, żeby nie wjechać w jacht stojący obok. Ufff, zakotwiczamy i możemy iść spać. Jeszcze tylko chwila na orientację gdzie jesteśmy (aha: po lewej nieoświetlony katamaran, po prawej jakiś kadłub, z tyłu – też nieoświetlona bryła). W nocy dmucha, więc znów się nie wysypiamy.

2 stycznia

Skończył mi się kalendarz. Jak teraz spisywać swoje wrażenia? zapamiętać kolejność zdarzeń?

Płyniemy na Martynikę. Oczywiście pod wiatr. Sterujemy ręcznie. Co chwila fale lądują na którejś z nas. Śmiejemy się, że to miss mokrego podkoszulka. Ja, opiwszy się soli, trochę choruję, a Ania - ta pasqda - życzy sobie 3-daniowy obiad... zamorduję!

Uff, nareszcie Martinique! W Anse Mitan mantra „Asia” stoi już na kotwicy (były wcześniej). My jedziemy jeszcze po Pawła - znajomego Ani.

Następnego dnia dziewczyny wsadziły mnie do mantra dinghy i zmusiły do sterowania silnikiem. „Masz się nauczyć i koniec!” Co miałam robić? Nie jest to takie trudne, ale nie lubię. Umiem, ale nie lubię dalej. Zawsze się boję, że silnik wpadnie mi do wody. A te pasądy jeszcze kręcą filmika.... zamorduję je!

Po różnych dyskusjach stwierdziłyśmy, że płyniemy na Dominikę (to nie że tyle godzin drałowania pod wiatr, ale czy będziemy miały okazję jeszcze wrócić tu kiedyś?)

Już przy podchodzeniu widzimy jaka Dominika jest piękna, cała zielona! Stajemy w Portsmouth, gdzie tankujemy najlepszą wodę na całych Karaibach! Woda jest krystalicznie czysta, do tego stopnia, że kiedy widzimy dno, nie możemy uwierzyć, że sonda pokazuje 15 metrów. I widać kolorowe rybki - jak w akwarium! Wykorzystujemy tę chwilę i nurkujemy (brrr.. ja chyba jednak wolę być na jachcie niż pod wodą... i spotykać takie płaszczki, jak ta tutaj na przykład).

Płyniemy do Prince Rupert Bay i tam kotwiczymy. Jest ślicznie! Dokoła zielona wyspa, mnóstwo jachtów, tylko sięść na dziobie (moje ulubione miejsce, zresztą pewnie nie tylko moje) i rozkoszować się widokiem. Robimy wycieczkę po Indiana River (rzeka w środku dżungli). Niesamowita cisza na tej rzece. Słychać tylko stukot wiosł naszego przewodnika Alexa. Poznajemy Steve'a i Ralfa (dwójka przyjaciół od lat) - specjalnie dla nas łowią ryby. Paweł je potem patroszy a Madzia smaży. Rybki są rewelacja, ale ja nie mam jakoś humoru. Wieczorem jedziemy zwiedzić Fort (kompletnie nic nie widać, ciemno, ale co tam), a później korzystamy z zaproszenia Ralfa i Steve'a i spędzamy bardzo sympatyczny wieczór z nimi i ich przyjaciółmi. Ralf i Steve robią nam przynęty na rybki (znają się na tym).

Jedziemy na Carriacou. Chciałybyśmy bardzo płynąć jeszcze wyżej - tam są piękne wyspy - ale czas nas goni. Nie da się zobaczyć wszystkiego. Na Carriacou spotykamy się z żaglowcem „Fryderyk Chopin” (Ania i Gosia na nim pływały; ja – kiedy stanęłam na jego pokładzie - też zapragnęłam). Cudownie spędziłyśmy tu cały dzień. Skakałyśmy z huśtawki zamontowanej na reji (ja - przyznam się - bałam się jak diabli; burta wysoka, do wody daleko, i w ogóle; ale... zamknęłam oczy i... skoczyłam! Coś pięknego!!!) I zostałyśmy zaproszone na obiad na „Chopinie”. A na obiad schabowe, kapusta i ziemniaczki (a dopiero co poprzedniego wieczoru tak nam się za schabowym właśnie zatęskniło). W czasie obiadu dzieciaki ze szkoły pod żaglami (dla których serwowany właśnie zestaw obiadowy to żaden luksus) pytały „A wy co jecie?” Jak to co? Urozmaicone wena puszki... Bardzo, bardzo sympatycznie na tym Carriacou było! A na żaglowcu – wspaniali ludzie!

Płyniemy na Grenadę, do St. George's. Przed nami dwie doby pływnięcia. Jest z wiatrem, więc idzie dość szybko. Zdążyliśmy przed Andrzejem, uff....

Wyływamy z Grenady (fajnie tu, zielono, tylko ciągle pada!) i kierujemy się na Ronde Island. W chwilę po wypłynięciu z Grenady mantra „Asia” złowiła rybę! Takieego tuńczyka!!! Od razu zapanowała powszechna radość, bo to oznaczało dobry obiad (nasza wędka niestety zgubiła się, kiedy coś ja pociągnęło). Docieramy na kotwiczowisko na Ronde Island. Jest dzikie i pięknie cudowne! Wokół nikogo, żywej duszy, tylko my - dwie mantry! Bosko! Gosia z Madzią przyplwają ze zdobyczym tuńczykiem. Paweł go filetuje, a ja - smażę (choć na surowo też byłby całkiem-całkiem). Wszyscy wygłodnieli, więc z niecierpliwością czekają na kolejne porcje... Aleśmy się tym tuńczykiem objedli! Po obiadokolacji wyciągamy gitarę i trochę śpiewamy. A rano - dalej w drogę, znowu na północ. Chcemy dotrzeć do Tobago Cays. Najpierw jest jednak odprawa na Union Island. Union jest śliczne! Po prostu wyspa, na którą chce się wrócić! Kiedy tak łazimy po tym Union poznajemy pewnego taksówkarza. Potrzebujemy ichniejszej kasy a tu bank nieczynny. Taksówkarz zaprowadza nas do jednego Francuza, a ten z kolei – do swojego do syna (obaj mają sklepy po przeciwnych stronach ulicy). Przesympatyczni ludzie, miła atmosfera, nawet w biurze, przy odprawie, jest miło. Przez głowę przemyka nawet myśl „a może by tak tu zostać?”...

Na Tobago Cays nurkujemy. U mnie co prawda pływanie nad samą rafą powoduje lekki odruch w tył zwrot (bo wciąż zdecydowanie lepiej czuję się, kiedy pod nogami mam pokład a nie rafę), ale... zobaczyć te ławice czarno-kolorowych rybek przepływające tuż koło nosa, i korale na wyciągnięcie ręki, a nawet to jakieś coś na dnie (nie wiem co to było) co patrzyło na mnie swoimi wielkimi oczyma... warto było ...

Zakotwiczamy na Mayreau i odwiedzamy restaurację Denisa (boss wysp, Gosia poznała go, jak na „Chopinie” pływała). Raczmy się wybornym rekinem w warzywach. I kolejny sympatyczny wieczór...

Następnego dnia jesteśmy dalej na Tobago Cays. Tym razem na jakiejś dzikiej wyspie pomiędzy Petit Rameau i Petit Bateau. Są tu co prawda sprzedawcy z koszulkami itp. gadżetami, ale nie ma innych dobrodziejstw cywilizacji (sklepów, bankomatów, telefonów). Spędzamy tu cały dzień. I noc też. Denis specjalnie z okazji naszej wizyty wziął wolne i przygotował wspaniałą imprezę. Do imprezy dołączyli znajomi Norwedzy (spotkani nie tak dawno na Mindelo), którzy pływają razem ze swoimi dziećmi. Opowiadali jak to pływa się z dziećmi, które chcą robić wszystko poza nauką (chyba normalne). Okazuje się, że te dzieciaki wcale nie mają tak lekko: jak rodzina przyplwają do jakiegoś kraju to one same

muszą dowiedzieć się o tym kraju od jego mieszkańców, a potem jeszcze jakiś esej napisać... Tego wieczoru siedzieliśmy długo. Gadaliśmy, tańczyliśmy na plaży, trochę śpiewaliśmy (kawałki polskie, norweskie, angielskie). Nawet Denis dał się namówić na granie. I podziwialiśmy przepiękny zachód słońca pośród palm (szkoda, że większość naszych aparatów miała już wyładowane baterie)... To był naprawdę niezapomniany wieczór! Długo go będę wspominać...

Jedziemy na Mustique (Wyspa Komarów). Wyspa owszem - bardzo ładna, ale - prywatna. Biję od niej samotnością. Bo życie tu toczy się w wielkich bogatych willach, wokół których palmy - rosną posadzone równo w szeregu, a i trawniki - są tak równo przystrzyżone, że aż boli. Na ulicach cicho i pusto, i tak jakoś smutno. Ale ja może się nie znam, może to ma w sobie jakiś urok? I jeszcze jedno. Żeby na Mustique przylecieć trzeba się wykazać imiennym zaproszeniem (nieproszonych gości tu się nie toleruje) i biletem w obie strony. I gotówką - bo bankomatów niet, i banków chyba też nie. Zupełnie nieoczekiwaną korzyścią z naszego pobytu na tej dziwnej - ja dla mnie - wyspie są... kokosy (znalezne). Pycha!

21 stycznia

Wracamy na Grenadę, na której - ciągle pada. Stoimy na kotwicy i powoli żegnamy Pawła, Madzię i Andrzeja. Żegnamy też piękne zielone Karaiby, pełne tylu przyjaznych i niesamowitych ludzi... Może kiedyś tu jeszcze wrócimy?

Za chwilę płyniemy dalej - na Arubę!

Agata Mryczko